

BONIFACY MIĄZEK

ZIEMIA OTWARTA

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1967

143

ZIEMIA OTWARTA

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 143

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (Yvelines)

BONIFACY MIĄZEK

ZIEMIA OTWARTA

POEZJE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1967

BIBLIOTEKA
KRAJOWA
WARSZAWA

II.771.511

© Copyright by INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., 1967

1969 W 1388 / 75

O KAPŁAŃSTWIE

Kiedy się począłeś człowieku w czarnej sutannie
jakie wiatry cichły w kołysce
abyś był solą ziemi?

Teraz wydano ciebie ludziom
jak codzienność w dłonie dobrych i złych
każdy może sprawdzić twoją gorycz powszednią
może się bawić Boży pająku twoim milczeniem
aż przygaśniesz jak popiół
podeptany uśmiechami bliźnich

Jesteś sam
twoje drogi porwane skrzydłami galaktyk
dźwigasz krwawiąc kolana
i szerniały ślady z wezwaniem Syna Cieśli
dochodzisz w początkach
złoty ornat blask światła
gasi twoje rany
ale drzewa oliwne podpływają górą
związane echo młotów znów przechyla drogi
musisz iść po wysokość bez siły aniołów
musisz sam czarny cieniu
krzykiem na pustyni
rozpalać co wygaśło pod dławiającą chmurą

Brzegami winnic
samotność chwyta pożary świata

chwyta na próżno — w rękach zostaje proch
jak zawsze kiedy krzyże odchodzą od Ciebie
potem noc tłucze w dzwony
samotność powraca
abyś w rozbłysku łaski odnalazł Emaus

Czym jesteś pająku nieba
jakie niesiesz drogi ponad zieloną śmiercią?

Nim dłonie przewiążą różańcem
i wersetami psalmów wychłódzą powieki
odpowiem sobie: jestem tylko glinianym dzbanem
który codziennie leczy wielka ręka Pana

SZKIC Z WYOBRAŹNI

Księdzu Czesławowi Murawskiemu

Bezdrożami nieba jak w czarnych portach jodeł
skrzypi Wielki Wóz
zaprzężony w leśne sarny
w wilgotną zieleń klęczących ogrodów
przelewa się mleko księżycyca

Dalej grusze posłuszne refrenom wieczoru
obchodzą pola szeroko aż pogasną świerszcze
i zaśnie Paganini pod strunami liści
sowa wybije północ
pod powiekę tryśnie strumień snu
w dzbanach łąki miód ścichnie ulewny
będzie spokój oparty rękami o niebo

Kiedy woda tańcząca mgłą zabarwi brzegi
pachnące o tej porze zielonym księżycem
ciemny jak wiatr w oczach leśnej sarny
wезде rysunek wzgórza pomarszczony lasem
i ranek
o barwie bizantyjskich Madonn
rozpowiedzą znad krzaków rozbudzone ptaki

— Wróciłem od chorego
pięć lat nie opuszcza łóżka
gruźlica
dziurami w boku wycieka życie

Oczy mówią powoli
ręce na kołdrze powstrzymują osypujący się piasek
— mamó a może
od przeciągów te wymioty
teraz lepiej otwórz okno
tak przyjemnie pachnie świeża ziemia...

Na stoliku czarna książeczka
jej grzbiet wyłysiał od użycia
papierosy dzbanek z kompotem Anioł Stróż
na ścianie w niebieskie palmy
niżej
Brigit Bardo nad raną lat dwudziestu

Oprócz owoców i czekolady nic tam nie zostawiłem
wszystkie brzegi były odległe
wyszedłem
z pustką pod sercem
z rękami w kamiennym stropie

ALUMNOM SANDOMIERSKIM

Wirydarzem klasztornym
w ciemnym odbiciu okien
idzie Chrystus z pasterskim kijem
na ścieżce wiatr
przewraca strony Historii
po sandomierskim rynku
staczają się lata
jak Wisła w wyspach wiklin
której nie powtórzysz
tutaj niebo
w srebrnej kopule gołębi
to samo
i te same marzenia kleryckie
— kiedyś w życiu bardzo zabolą —
ten sam Chrystus
w wilgotnych porannych kwiatkach

RYSUNEK BRZOZY

Brzoza za oknem jest ukłonem wiatru
muzyczną ciszą pod pękniętym dzwonem
zna mowę nocy z podręcznika kwiatów
otwartą ciepło ponad nieboskłonem

Brzoza za oknem jest śpiewem popiołu
zielonym sznurem rozchylonym w niebo
czas nim kołysze i klęka na oczach
rozpogodzoną ostatnią potrzebą

Brzoza za oknem
więc czym jest ta brzoza
w której sklejono początek i koniec?
Ukłonem wiatru czy pękniętym dzwonem
— sznurem mijania?

Nie wiem

NA DRODZE DO EMAUS

W torbie jęczmienne placki
sandaly i czoło w lepkich włosach od rana a w tyle pożary
pod niebem
gdzie dojrzałym winem zsypano brzegi zatok
szarpie przypływ grozy
nie ma dnia
tylko morze dalekie wzbiera zimną ścianą i jak misa **Piłata**
rozsypuje w nas pamięć

Głos wędrowca
Szliśmy tak w upał podobni głazom górskim
którym nakazano spadać gdy oczy wydlubie strach
w trzosach gadała pustka
więc musieliśmy Panie zapomnieć o tamtych snach

W torbie jęczmienne placki
sandaly i czoło w lepkich włosach od rana a w tyle pożary
uciekać
nim powrozy rozwiną się w pogoń uciekać jak najdalej

Głos wędrowca
Twoje królestwo to najprzedniejsze mleko oślic
i plaster miodu ale dokąd go nieść?
rozdając chleb po drodze sami zdychamy z głodu
a w słowach lęgnie się pleśń



Pod niebem kamienie głuchną sól zwietrzała płomień schowano
cóż zostanie z odległych lat?
dzień się pochyla pustką i w noc niesiemy Panie
wyrwane serca ptaków z jedyną prośbą: pozostań

MOJE MIESZKANIE

Łagodne są drogi pielgrzyma jak ogród
w ciepłym deszczu za miastem
Cisza kołysze okna
jabłonie proszą rozważą
czy znasz ten zapach przyływów?

Stół zarzy kroplami słońca
w którym wysokie naloty ptaków
rozkołysały horyzont
i wiatr przygasił czas
pod błyszczącą warstwą politory

Pod ścianą z książek tapczan
— tam zawsze łodzie obłoków —
czytam je w pochyleniu dnia
Stąd naucza mój święty patron

Krzysztof Kamil Baczyński
i Rainer Maria Rilke
stwarza świat w srebrnej wyobraźni
Tutaj wysoki Lechoń u nóg aniołów
nawołuje w zielone liście
o żyzna ziemio samotnych
czemu stawiasz krzyże wybranym?

Jest jeszcze w tym pokoju
sieć i ryby z Jeziora Genezaret
Chodzą za mną w codziennych krzyżach
nim je jutro w inne poniosę miejsce

OJCZYZNA

Kawałek ziemi
kilka domów
i rzeki
rzucone w drzewa
a przecież
nie uciekniesz

nie obronisz się
przed tym

lata
związane w pamięć
będą skargą dojrzewać
aż serce
zabliźni echo

z drewnianej
partyтуры milczenia

WIERSZ O WIEDNIU

Helenie i Wandzie Kustron

Może za wcześnie mówić Kocham gdy z trudem jeszcze
odczytuję twoje ulice podane dobrotliwie
jak kawałek chleba w przyjaznej ręce czasu
ale każdy ranek
otwarty muzyką kosów
każdy zapach drzewa
kładzie wargi w horyzont Dziewiątej Symfonii
aż po wysokość zachwytu w którym nadzieja i miłość

Rzeźby idące kamieniem
wytarte wiatrami gotyckie różańce katedry
i księżycy jak złote płyty
na falach Dunaju kołyszą mną w tańcu bezbłędnym
oczy białym łodziom obłoków oddaję
w nauce wieczorów szerokich
w szumie spokojnej i nowej
jak wiedeński poranek
przyszłości mówionej pracą i dobrej jak praca

Kocham ramiona mostów opartych o brzegi
miarowy dialog czasu ukryty w zegarach
i ciche zmierzchy witraży w kościołach
gdzie ciszę sypie sam święty Stefan pod zgięte kolana
a idąc wieczorem w miasto
swoje miasto słyszę jak wygląda przez Wisłę
więc jakże nie kochać?

OBRAZEK

Ulicą idzie kobieta
stara
brzydka kobieta
o sękatych rękach
cała jest pochylonym czasem
i pustką
po tym co odeszło

Gdy miała dom słońce
śpiewało w oknach
płomieniem pelargonii
a po podłodze
pełzał
zwinięty kłębek śmiechu
w rączki jak w gwiazdy
dzwonił
i każdy zmierzch
miał smak
wypieczonego chleba

Ulicą idzie kobieta
stara
brzydka kobieta
wlokąc zgarbiony cień
domu i uśmiechu
ten ciężar po tym co odeszło

PYTANIA

Kamień stygnie na świadectwo prawdzie
prawda chowa źródła kłamstw człowieka
więc dlaczego w wieżach wymierzacie
czas i przestrzeń gdy od was ucieka?

Po co wiązać ręce białych dymów
kiedy kreda obraz twój przechowa
będziesz dzwonem wysokich kominów?
czy w gałęziach wszędzie twoja głowa?

Kamień źródła przewiąże zielono
wiatr szlakami poprowadzi wieków —
więc dlaczego wieczorami słono
wypatrujesz niedzisiejszych brzegów?

SEN

Na wysokości ramion wzeszło
metalowe słońce
i łopotały ręce
jak echa kościelnych wież
w twarzy
był płomień czarny
sześćoramienny gorący
w nim rzeki dzwoniły o księżyc
i gwiazdy dzwoniły o brzeg

W czarnym płomieniu gołąb
pochylił łódkę dłoni
ważąc czułość jak dzień szeroką
rozpalił drzewa
i echem przez krwioobieg
w tętnicach oliwnych opadł
aż po wąwozy milczenia

Końca już nie pamiętam
— jakieś brzegi kamienne
trzaskały głucho
w niespełnionych dzbanach
— jakieś konie podkute niebem
ugrzęzły w jesieni
wreszcie słońce zadrzało ciepło
jak zapach świętokrzyskiej jodły
w rekonstrukcji zmęczenia

MODLITWA DO MATKI BOSKIEJ

Maryjo nie wydaj mojego zmęczenia obcym drogom
wydrążonym w pustce
weź mnie w łaskawość Twoich oczu
zanurz w rzece codziennej abym poznał
jak piecze policzek od brata
abym doświadczył bólu zrodzonego nocą
byle tylko przy Tobie
Panno Wierna
miej litość dla kamieni stygnących w rozpacz
bądź ze mną

Matko
przed Tobą klawiatura pola kołysze wzgórza w preludiach
i gwiazdy lipcowe jak świece
spadają niebem zrywając przestrzenie
o Matko pochyl dłonie nad złamanym drzewem
by znowu wiatr je rozniósł szerokim oddechem

Wszystko co powiem usycha
bo we mnie osiadł czas milczenia i głód
głód poranny
szarpiący w strunach przekreślonych planów
usypiany i budzony lękiem
zamykany i otwarty w wieczność
kładę przed Ciebie krzyk dłoni pustych
bądź mi Przewodniczką
ciemną goryczą świata w zmartwychwstanie prowadź

BEZ TYTUŁU

Oni nieśli białe latarnie jak jagnięta
które przyszły nagle gdy już rzeki tłukły się po łąkach
ocierając mokre pyski koniom

Oni nieśli białe muszle ramion w wodospadach
drżące dotykami wynajdywali imiona pod drzewem rodzaju

pasterz kładł im melodie fletów we włosy
teraz i potem kładł
dłonie rozpałał puszysty płomień gniazda
powieki sączyły głębie

Kiedy białe latarnie odejdą popołudniem na pustynie
mówimy przesypując piasek
dobry człowiek a szczęścia nie zaznał

LIST DO HEBRAJCZYKÓW

Był grudzień. Czterdziesty pierwszy
Wiatr w kałużach roztopiał szkło
W cieniu krzyża
za pnem starej wierzby
noc uderza w lękliwy głos

Głos był boso
z rękami przy wargach
— żółta gwiazda i łachman przez plecy —
był skomlącą w chorobie skargą
którą tylko chleb mógł uleczyć

Ale drzwi nie otwarły się chlebem
przerażone
uciekły jak złodziej
Księżyc-żandarm przetoczył się niebem
łachman odszedł
choć nie odchodził

Teraz pójda złożyć wieniec na grobie
znicz zapalić w mgle listopada
Kości milczą
krew poszła w ogień
ludzka pamięć wyciera ślady

TEMAT CYGAŃSKI

Stara Cyganka nie dźwiga chleba
ani barszczu ani ziemniaków
jej torby zwisają próżne
szeleszcząc dławionym strachem
powolne dotychczas drogi
wystygły głodem w oczach
i jak takiej usiąść przy ognisku?

Może nawet nie uderzą
może nie skaleczą złym słowem
ale będą daleko
niby te świerki zimne
nad opuszczonym płótnem namiotu
i z pewnością nie zauważą
ręki wyciągniętej do chleba...

Stara Cyganka idzie
w jej torbach kamienna pustka
i wyprostowane bicze jodeł
podchodzą w ognistym szumie
młodego życia Cygance
jak złotych pierścieni szkoda
gdy niepotrzebna dla swoich
jakże takiej usiąść przy ognisku?

RACHUNEK SUMIENIA

Motto:

*Nie pisz samych wierszy,
ważny jest pacierz
na drabinie siedmiu psalmów.
Do krwi zagryzione wargi
podkreślają słów daremność.*

O. Wacław T. Chabrowski

Ty wiesz
w taką noc gwiazdy rozmawiają z ziemią
i drży próchno nad drogą księżycą
okna milkną niebiesko
a drzewa piszą zielone ogromne listy

Nie mów więc że świat jest zły
tylko u twoich powiek
przywarła obręcz horyzontu
rozerwij ją głębiej
napotkasz słońce i ludzi dobrych ludzi

W godzinie skupienia
gdy już pogasły okłaski skrzydeł
którymi ptaki zapalały niebo
jest czas dla ciebie uklęknij
złożone ręce nie bolą
nim ranek przeleje następne zmęczenia
w czerwone kielichy
ukłęknij
w nieśmiertelność tylko tak dojdiesz

Powiedz sam: co ci dadzą metafory
wyrastające w twoich wierszach
jeżeli w duszy przygaśnie Boży płomień?

Czym będą kościoły zbudowane
na trudnych ławkach w seminarium
kiedy pustka zaleje ich wnętrza?

Uklęknij — w twoim życiu
ważniejsza jest czarna sutanna
i uśmiech na lekcjach katechizmu
niż wiersze

★ ★

To prawda W tych wierszach dojrzewa smutek
jak kiść paździenikowych winogron
Nie umiem inaczej

Każdy dzień zapina klamra mijań
okrągłe koła godzin wiodą zmierzch przed którym
nie ma obrony jak nie ma powrotu

Tamte ścieżki odeszły trawą Przyjaźnie wystygły
i szum w topolach inny niż wtedy
Sam w obcym mieście Kamienne granice
zgryzły wargi przed krzykiem na kolczastych drutach
To wszystko

W którą stronę?
Chrześci piasek zagłady w drzwiach otwartych nocą
Jakie przywołać drogi? Schylają się drzewa
i w zielonych organach antyfony smutku
Dokąd? Aż po wysokość psalmów
splątanych na oczach przędzą gorącej ziemi?

Nie ma ratunku

PRÓBA OPISU

Róża krwawi w ogrodzie
błagając jesień o litość
róża jest wysokim kościołem
wzniesionym trudno
w wodzie powietrza i słońcu
o wysokiej gotyckiej wieży
na której aniołowie
powiewni jak babie lato
kołyszą czerwonym dzwonem

Róża jest porankiem zapachów
podnoszącym jak źródło
otwarty bok jesieni
albo harfą iskrzącą muzycznie
na zielonej strunie
— jest ludzkim głosem ziarna
w którym czas dojrzewa
czy symbolem mijania?

opisać nie umiem

POŻEGNANIE

Do widzenia
horyzontem odchodzącym sypią gwiazdy
wróżąc drogi poplątane w trudne lata
otwórz brewiarz
szczyptę ziemi rzuć na psalmy
aby w sercu jej zapachu czas nie zatarł

Do widzenia
pod powieką w łzach spieczoną
krajobrazy rosną w ramach niepojętych
całowana ręka matki stygnie słono
w perspektywie lat minionych
drzwi zamkniętych

W swoim kufrze wzięłeś ziarna złej tęsknoty
będą rosły w obce noce gorzką ciszą
więc cóż teraz?
schyl kościoła jasny gotyk nad drogami
niech ogrody każdej wiosny listy piszą
do widzenia
zostań z Bogiem moja ziemia

NAD DUNAJEM

W tym okrodzie kwiaty jak chłodne jeziora
opływają zielonym obszarem
wiatry odeszły w pola
kielichy tulipanów pochylone ciszą
roznoszą popołudnia po znajomych ścieżkach

Zanim przyszedłem tutaj
ktoś pachnący tytoniem kładł mnie na ramiona
patataj patataj i czerwony kapturek
potem niebo runęło ogniem
ziemia się wściekła
wył strach rozstrzeliwany pod murem

Teraz drzewa i kolebiące brzegi
mają mi podać zapomnienie
nie wiem
buduję jednak zielone ogrody
sztucznego słowika wiem na różowej jabłoni
niech śpiewa
tamtą kantatę o chlebie

OTWIERANIE CIEMNOŚCI

Lubię ten kolor
ciemny zarośnięty wilgocią
kolor nocy
jakaś muzyka łąk kołysze niebem nieruchomo
ogrodami płyną gołębie w gniazdach
i srebrne monety rosy spływają na oczy

Pamiętasz?
księżyc idzie rozkopanym kartofliskiem
po kolana w suchych badyłach
nie idzie niebem
jest tak blisko że tylko ręką
a rozplynie się jak święte jelenie
w nadrzecznej legendzie roztańczy
snopom iskier wyrosną teraz dłonie lżejsze
i dławiąca samotność zbrązowieje w zaszczyt

Będą ciepłe języki wawozów
ryby wyniosą brzegi cierpliwą wikliną
ciemność
lubię ten kolor
kiedyś gdy czas gwałtowny polami okryje
z księżycem w ręku
otworzę dno ciemności aż oczy zabolą

PANTA REI

W dolinach oczekiwania umierają
gdy idą po mleko
deszcz ich nazwiska podnosi
w ostrołuki światła przelewa zieloną pręgą
aż zgasną okryci niebem

Drogą kamienną śmierć i wszystkie marzenia
— tylko oni nie stygną

W drzewach trwają łukami złożonych rąk
pogodzeni z kamieniem i wodą
nie tutaj
w drzewach trwają
gęstych z radości
w gałęziach krzyczących których obszar
aniołowie odmierzają śpiewem
i gdzie zegary klęczą

Dokładnie tam w blasku odchylonej ciszy
ręce oczy i serca
a pod codziennością głodnych
korzeni strumień który jest początkiem

STROFA Z MORAŁEM

We snach nawiedzają nas aniołowie

twarze mają ogniste wulkany w oczach
idą tak łamiąc krajobrazy skrzydeł
zaglądają pod powieki
otwierają nam usta łyżką księżycą
grzebią w mózgu

miłość z trzeciej licealnej minęła
został tylko zapach świeżej trawy
jakieś słowa
ciekawe mówią ale dlaczego
czyżby był nieatrakcyjny?

Z rąk rozrzuconych w pościeli wyluskują **małe ziarenka**
czego tam nie ma?
ze wstydu chciałyby się je wyrwać
lecz nie dają

nie bądź w gorącej wodzie
mówią cicho licząc niedbałe brewiarze
i brzydkie zwyczaje
prawdziwe piekło zaczyna się w **sferze**
kiedy już nic nie można

ŻYCZENIA

Księdzu Wiesławowi Wilkowi

Gdyby tak pójść równiną rozniesioną żytem
daleko iść
po pożar w słońce
ręce oddać obłokom i ptakom uwierzyć
że szczęście kryje w sobie nawet krótki koncert

Gdyby ominąć czarną samotność cmentarzy
krzyże co po nas przejdą
wrzeczona popiołu
i znowu śpiew pastwiska kołysać u twarzy
złotym chórem zachodu odchodzącym w ołów

Wieczorem
podglądać ciszę dzwoniącą w dojrzałym srebrze rzeki
patrzeć jak księżyc przygasł u kolan tatarakom

W muzycznej litanii lasów płynąć płynąć
odległy barwom mijania
a przecież
rzeka chwyciła ręce i czas nam imiona zieleni

ESCHATOLOGIA

— nie dostaniesz księżycy
jego ramiona krają ziemię zielono
przez połowę a rzeki
jak jabłko darowane ciszy rąk dziecinnych

— nie dostaniesz litości
bo żelazo w ręku człowieka ma kolor krwi
i zaskakuje cierpieniem
potem śpiewa hosanna

— nie dostaniesz niczego z rzeczy
wcześniej oczy wypali oczekiwanie
i drzewo krzyknie na powiekach
nim podniesiesz się w gwiazdzistych drogach
które ptaki kładą pod skrzydła

ręce rozgotowane na wargach nieba
głębokie jak echo w kamieniu kładę na ołtarz
przyjmij Panie
i wywiedź z mroków milczenia
nim na oczy spadnie czułość miedzi

JESIEN

Reginie i Józkowi

Chciałbym pisać rzecz o spadłych liściach
rozpalonych u brzegu nocy żółtym echem
chciałbym otworzyć muzykę co wzbiera
w łańcuchu spinającym przyczynę i skutek

Lecz droga liścia
zamyka się w oczach
i ginie wilgotnym zapachem
w miękkim wsiąkaniu w ciemność
które wiatr przeraża

Czy tutaj poeta przyklęknie
aby podnieść granice wieczności?

Chciałbym określić wniebowstąpienia gałęzi
obejrzeć każde włókno w którym głowę złożę
póki do moich okien dobija się błękit
i księżyc na jabłoni tnie liść krzywym nożem

SPIS TREŚCI

| | |
|--|----|
| <i>O kapłaństwie</i> | 7 |
| <i>Szkic z wyobraźni</i> | 9 |
| <i>Wróciłem od chorego</i> | 10 |
| <i>Alumnom sandomierskim</i> | 11 |
| <i>Rysunek brzozy</i> | 12 |
| <i>Na drodze do Emaus</i> | 13 |
| <i>Moje mieszkanie</i> | 15 |
| <i>Ojczyzna</i> | 16 |
| <i>Wiersz o Wiedniu</i> | 17 |
| <i>Obrazek</i> | 18 |
| <i>Pytania</i> | 19 |
| <i>Sen</i> | 20 |
| <i>Modlitwa do Matki Boskiej</i> | 21 |
| <i>List do Hebrajczyków</i> | 23 |
| <i>Temat cygański</i> | 24 |
| <i>Rachunek sumienia</i> | 25 |
| <i>To prawda</i> | 27 |
| <i>Próba opisu</i> | 28 |
| <i>Pożegnanie</i> | 29 |
| <i>Nad Dunajem</i> | 30 |
| <i>Otwieranie ciemności</i> | 31 |
| <i>Panta rei</i> | 32 |
| <i>Życzenia</i> | 34 |
| <i>Eschatologia</i> | 35 |
| <i>Jesień</i> | 36 |



A C H E V E D' I M P R I M E R
L E 1 5 M A R S 1 9 6 7
S U R L E S P R E S S E S D E
L' I M P R I M E R I E R I C H A R D
2 4 , R U E S T E P H E N S O N .
P A R I S (X V I I I ^e)

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1967

BN. Paris
27. VIII. 69w

Cena 6 F. (9/-; dol. 1,25)

V.K.